

Kobiety **NOWEJ HUTY**

*Cegły, perty
i petardy*

**KATARZYNA
KOBYLARCZYK**

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2026
© Katarzyna Kobylarczyk, 2026

Wydanie drugie

Opieka redakcyjna: Agnieszka Mazur
Konsultacja merytoryczna: Jarosław Kłaś
Redakcja: Anna Kopec-Śledzikowska
Korekta: Urszula Kosobudzka, Monika Karolczuk
Projekt okładki: Adam Gutkowski
Skład i łamanie: Lucyna Sterczewska
Fot. na okładce: Narodowe Archiwum Cyfrowe
Fot. na skrzydle: Katarzyna Dróżdż

ISBN 978-83-277-5204-8

MANDO
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
mando.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255
e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 629 32 70
e-mail: zamowienia@mando.pl

Druk i oprawa: Drukarnia WYDAWNICZA • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK White 70 g vol. 1.6
dostarczonym przez IGEPa Polska Sp. z o.o.

SPIIS TREŚCI

Miasto kobiet 11

Zanim 15

CZY POLA BYŁY SZCZERE?	16
WIDOK Z KOPCA	19
MIKROKOSMOS	23
PRAWIE REWOLUCJA	28
OSTATNIA DZIEDZICZKA	39
CZEGO BIERUT NIE ZROZUMIAŁ	41
PO KAWAŁECZKU	46

Cegły 55

SIEDEM WSPANIAŁYCH	55
MIASTO W CHMURACH	62
CAŁA TA BUDOWA TO BAJKA	74
NOWOHUCKIE LEGENDY	86
WSPÓŁZAWODNICTWO I SABOTAŻ	90

Skąd się biorą dzieci i miasta 97

WIADERKO	98
DYSCYPLINA MORALNA I FIRANKI	106
TO, CO WAŻNE DLA MARTY	119
OPOWIEŚĆ AUTOMATYCZKI	125

Inszość 139

Historie z zaplecza 161

PIĘKNA BUZIA	162
STOŁÓWKA-MATKA	166
MIEJSCE PRZY BUFECIE	168
NA DOBRĄ STOŁÓWKĘ	
KROWA WJEŻDŻA ZADEM	173
GOŚCIE Z KOSMOSU	180
NÓŻKA LENINA	183

Brak 191

CIEŃ PADŁBY NA DZIELNICĘ	191
STRZAŁY	194

Petardy 201

ŻYCIE NOCNE	201
NIE BĘDIEMY JEŚĆ CHLEBA	208
SKRAWEK WOLNEJ POLSKI	212
CISZEJ, BO DZIECKO ŚPI!	217
ZIUTE CZKA	223
ŻYĆ NA POWIERZCHNI ORAZ POD NIĄ	230
RZUCAŁAM KAMIEŃ	233
ŻEBY BYŁO LEPIEJ	240

Bilion odbić 249

MISTRZYNI Z PODWÓRKA	249
NICZEGO INNEGO NIE MA	253

Wbłokowstąpienie 259

REŻYSERKA

O SPRACOWANYCH DŁONIACH	260
ASPIRACJE	262
MYŚLI WSPÓŁCZESNEGO CZŁOWIEKA	265
A ZABIŁ TAM KTO KOGO?	269
STAN CIEPŁOTY TEATRU	278
DRŻENIE ZIEMI	283
SOJUSZNICZKA	291
SPOIDEŁKO	294

Przypisy 303

Bibliografia 315

Źródła i autorzy ilustracji 323

Podziękowania 325

Moim babciom Genowefie i Irenie,
moim dziadkom Stanisławowi i Władysławowi

Do niedawna niewiele osób o tym wiedziało, a to dlatego,
że kobiety lepiej pilnowały swoich tajemnic niż mężczyźni.

Bruce Chatwin, *Pieśni stworzenia*

MIASTO KOBIET

Najpierw koleżanka powiedziała:

– Mieszkam w Nowej Hucie i otaczają mnie same kobiety.

Potem podsłuchałam rozmowę w tramwaju (często podsłuchuję rozmowy w tramwajach).

– ...i nikt nie robi pani zakupów? – Dziwił się facet w średnim wieku.

– Syn, wnuki, wszystko siedzi w Irlandii – odpowiedziała stara kobieta. – Ja, proszę pana, mam 85 lat, ale nogi zdrowe. Jeszcze opiekuję się sąsiadką, ona ma 90, z domu już nie wyjdzie.

Wtedy zrozumiałam, że Nowa Huta, która zaczynała jako miasto młodych mężczyzn, na starość stała się miastem kobiet. Zrozumiałam też, że to one są jej pamięcią. Pamiętają łany zbóż na miejscu bloków, kurz, pył i błoto wielkiej budowy, obietnice raju i siermiężną rzeczywistość, całowanie ścian nowego mieszkania i kolejki po mięso, zamach na pomnik Lenina, ciężką pracę i miłość, huk petard i zapach gazów łzawiących...

Pomyślałam, że to niesprawiedliwe: przez lata symbolem Nowej Huty był murarz Piotr Ożański (pierwowzór Mateusza Birkuta, bohatera *Człowieka z marmuru*). Albo hutnik w żaroodpornym

ubraniu. Jeśli już architekt, to mężczyzna, jeśli opozycjonista z hutniczej „Solidarności”, to brodacz w kraciastej koszuli, z palcami rozłożonymi w gęście victorii. Chciałam, żeby tym razem to one przemówiły: pierwsze murarki, spawaczki, architektki, lekarzki, sportsmenki, aktorki, rzeźbiarki, kucharki, suwnicowe, córki i wnuczki chłopów wywłaszczonych pod budowę socjalistycznego miasta, opozycjonistki, działaczki nowohuckiej „Solidarności”, kobiety, które obroniły nowohucki krzyż. Chciałam oddać im głos.

Odnalazłam notes z numerami telefonów z czasów, kiedy pracowałam w Nowej Hucie jako reporterka, i zaczęłam dzwonić. Okazało się, że wzięłam się do pracy zbyt późno. Większość starych numerów telefonicznych milczała.

Do niektórych kobiet, których losy chciałam opisać, nie udało mi się dotrzeć. Niewiele było o nich w archiwach. Nie odnalazłam Zofii Włodek, pierwszej murarki Nowej Huty, założycielki kobiecej brygady murarskiej, chociaż myślę, że wiem, co mogło się z nią stać.

Do innych kobiet dotarłam zbyt późno. Gdy udawało mi się je odnaleźć, słyszałam: Nie. Już nie. Za późno. Już nie chcę. Z początku byłam rozzarowana. Potem zrozumiałam.

Najuczciwiej jak umiałam, spisałam losy kobiet, które zbudowały, wykarmiły i wychowały Nową Hutę, a potem wywalczyły jej wolność. Wciąż tu mieszkają. To moje sąsiadki, Nowohucianki.

Katarzyna Kobylarczyk

Kobięca brygada murarska w Nowej Hucie, lata 50.





Widok na Kopiec Wandy, lata 50. Ciasny kadr pokazuje Nową Hutę
jako coś, co powstało w miejsce niczego

ZANIM

Babcia Wiktoria zawsze była w drodze.

Ta ziemia w Bieńczycach, pola, ogród, sad, które odbierano jej piędz po piędzi, należała właśnie do niej, nie do dziadka. Babcia jeszcze długo chodziła z siatką pod stary orzech, zbierała owoce, przynosiła do mieszkania. W zamian za ziemię władza dała babci Wiktorii klitkę w bloku. Chyba nigdy nie czuła się tam u siebie. Wnuczka Małgorzata zapamiętała ją w butach. Kiedy przychodziły z siostrami w odwiedziny, babcia leżała w łóżku, w chustce na głowie, w trzech swetrach zapinanych na guziki i w butach. Właśnie w butach – w łóżku. Jakby za chwilę miała wstać i pójść sobie z tego miejsca, które nigdy nie było jej. Zawsze gotowa do drogi.

Na końcu władza odebrała jej dom. Kazała zrównać go z ziemią, wyburzyć. Babcia zburzyła dom, ale wywiozła z Nowej Huty wszystkie cegły. Zabrała je do Sulechowa, kazała wymurować z nich nowe ściany. Kiedy poczuła, że umiera, pojechała tam. Położyła się do łóżka, zapaliła gromnicę, nie pozwoliła wzywać do siebie pogotowia. I umarła – w nowym domu ze starych cegieł. Małgorzata zapamiętała ją w otwartej trumnie: w chustce, w trzech swetrach i w tych butach. Jakby całe życie była w drodze i w końcu – poszła.

Czy pola były szczere?

Z góry wygląda jak rozłożony wachlarz. Pozioma kreska głównej drogi biegnie niemal dokładnie z zachodu na wschód, wzdłuż skarpy Wisły, śladem dawnego traktu sandomierskiego. Środek wyznacza regularna plama placu Centralnego, szerokie ulice odchodzą od niego promieniście na północ, północny wschód i północny zachód. Długie pierzeje bloków chronią wnętrza osiedli. Podobno architekt Tadeusz Ptaszycki, generalny projektant miasta, pierwsze plany Nowej Huty szkicował na serwetkach, grubą kreską: proste linie, ład, spokój, klasyczna symetria. Praktycznie jedyne poza Gdynią współczesne miasto w Polsce wymyślone i zbudowane od podstaw. Perła planu sześćioletniego. Pierwsze socjalistyczne miasto w kraju. Miasto idealne. Miasto jasne, bez suterenu. Miasto na surowym korzeniu, stworzone, nie zrodzone, zaprojektowane dla robotników kombinatu metalurgicznego z niczego, od początku. „Tak wyglądał w 1949 r. ogromny, płaski teren wybrany pod budowę Huty im. Lenina”, głosi podpis pod zdjęciem, które umieszczono w popularnonaukowej książce o kombinacie⁴. Zdjęcie jest czarno-białe, ale wystarczyłoby, gdyby było błękitno-zielone, a może błękitno-żółte. Linia horyzontu dzieli kadr niczym od linijki: górą jest niebieska płachta bezchmurnego nieba, dołem płaszczyzna pól przeciętych pylną, piaszczystą drogą. Po bokach kadr zamykają dwa drzewa. Między nimi pustka. Nic.

To zdjęcie to kłamstwo. Teren wybrany pod budowę Nowej Huty wcale tak nie wyglądał.



- Mój dom – mówiła wiele lat temu Marianna Zajac – mój dom stał tam, gdzie te wysokie bloki przy rondzie, wie pani które? Obok

biegła droga: z nawierzchnią z tłucznia, z rowami wyłożonymi czerwoną cegłą. I była tam karczma, a pani, która ją prowadziła, nazywała się Marysia. Marysia, może to sobie pani zapisać.

Siedzialiśmy przy stole w mieszkaniu Marianny na osiedlu Hutniczym i rozmawialiśmy o świecie, który zniknął. Wcale nie po to się spotkałyśmy. Miałymy rozmawiać o bagażu – o tym, co ludzie, którzy jeździli do Nowej Huty, przywieźli ze sobą (a przywozili święte obrazy, kryształowe salaterki na chrzan, pierzyny i jaśki, komunijne sukienki, szewskie piramidki do ścinania nadmiaru skóry z zelówek, patelnie, które starzy Cyganie powlekali czymś, co lśniło jak srebro, i inne rzeczy niezbędne, gdy zaczyna się zupełnie nowe życie w zupełnie nowym miejscu).

– Oj, to nie nadam się pani – martwiła się Marianna Zając. – Bo ja tu, owszem, przyjechałam. Ale zanim przyjechałam, to najpierw stąd wyjechałam...

Ojciec Marianny Zając był kowalem we wsi Czyżyny. Podkuwał konie, robił brony, naprawiał bryczki. To, co zarobił, inwestował w ziemię. Dorobił się 14 hektarów, miał dwie krowy, konia, zatrudniał służącą i parobka. Mamusia Marianny z początku wcale nie chciała za niego iść. Miała dopiero 16 lat, on był 10 lat od niej starszy; kiedy przyszedł w swaty, uciekła na piec chlebowy. Ślub mieli przepiękny. Mamusia wspominała go do końca swoich dni: poszła do niego po krakowsku, w wieńcu, z družbami na koniach. Zamieszkali w domu, który stał dokładnie tam, gdzie dziś najwyższe, dziewięciopiętrowe bloki przy rondzie, które nazwano Czyżyńskim. Mieli sześcioro dzieci. Marianna była najmłodsza. Miała dwa lata, kiedy tatuś skaleczył się w dłoń i umarł.

Po jego śmierci mamusia podzieliła pola między starsze dzieci, tylko Marianna nie dostała nic. Nie należało jej się, była za mała, nigdy nie pracowała w polu.

Po śmierci taty zbiednieli.

Marianna pamiętała, jak pasła wujkowe krowy na błoniach.

– Błonia były o tam, niżej. – Wskazywała ręką, wymazując z rzeczywistości bloki, tory tramwajowe, chodniki oraz trawniki i umieszczając na ich miejscu pastwiska oraz łąny zbóż tak wielkie, że aż szumiały, górali, którzy latem schodzili z pogórza wynajmować się do żniw, i cmentarz chorych na czerwonkę. Machała dłonią i z mapy znikał kanciasty wielobok placu Centralnego, a pojawiały się Ośne Doły, gdzie woda spływająca wiosną z łąk rozmywała drogę. A w Czyżynach pojawiała się też Marianna pasąca krowy, żeby zarobić na łyżwy. Dzieciaki jeździły zimą na zamarzniętych dworskich stawach.

– Po śmierci tatusia mamusia nie miała już pieniędzy, żeby mi dać. Musiałam sobie zarobić. A jak już zarobiłam, to dostałam raz takie lanie przez te łyżwy! – Śmiała się. Zawsze była strasznie przodka do wszystkiego, żywe srebro, nie usiedziała. A siostra urodziła akurat bliźniaki, kazali jej tych dzieci pilnować, lecz zamiast z nimi siedzieć, poleciała na łyżwy. – Albo jak bracia zrobili mi sanki! Tam była taka górka, zaraz za naszym domem. Bracia zbili mi saneczki z desek, ale zanim żeśmy dojechali na górkę, całkiem się rozleciały.

W Czyżynach było lotnisko i władze, te przedwojenne, zabrały mamusi Marianny kawałek pola pod rozbudowę. Dostała za to odszkodowanie. Przyzwoite. Kupiła synom dorożki, jeździli nimi do Krakowa.

A Marianna poszła do szkoły: najmniejsza, najchudsza. Miała tylko pięć lat, ale mamusia uważała, że wszystko już umie. Akurat w Czyżynach otwierała się nowa szkoła, z parkietami na podłogach. Mamusia zdecydowała, że Marianna pójdzie do niej od razu po otwarciu, w 1930 roku. Obok szkoły stał Dom Ludowy i Marianna pamiętała, jak chodziła na tańce, zabawy, kursy gotowania,

przedstawienia, jasełka, występy... Umarł Piłsudski, całą szkołą pojechali na Wawel, do krypt. Witali Rydza-Śmigłego na Błoniach, wszystkie dziewczynki stały w krakowskich strojach. Potem sadziła kwiaty przed domem i te kwiaty – goździki, dalie, gerbery – cięta i na nogach nosiła na Rynek, na sprzedaż, siedem kilometrów drogą utwardzaną tłuczniem.

Potem przyszła wojna. Niemcy zbombardowali lotnisko, obierały najbliższe położone chaty.

Zbiednieli jeszcze bardziej.

Mamusia mełła teraz zboże na żarnach, zagniała z gotowanymi ziemniakami, piekła z tego chleb. Wychodził jak glina: ciężki, zbity, kleisty, zęby w nim można było zostawić. Dobrze, jeśli był. Jeśli wszyscy byli przy stole. Raz mamusi nie udało się uzbierać żywności na kontyngent. Przyjechali, zabrali wszystko, co było w piwnicy, do ostatniego ziemniaka. Mamę wzięli do więzienia, wyszła tylko dlatego, że poszedł za nią siedzieć brat.

Chłopca Marianna poznała już po wojnie. Nie był z Czyżyn, tylko z Bieżanowa, i kiedy przyjeżdżał na zabawy, musiał mieć się na baczności, żeby nie oberwać od miejscowych. Zawrócił Marianie w głowie. Może to dlatego nie zauważyła, jak drogą tuż przy jej domu – z nawierzchnią z tłucznia, z rowami wyłożonymi cegłą – zbliża się koniec świata.

– Bo to był, proszę pani, taki trochę koniec świata. Lament. Jeden wielki szloch. Ludzie płakali i przeklinali².

Widok z kopca

Do celu mają tylko 14 kilometrów, ale to trudna droga. Wyboista. Biegnie z Krakowa na wschód, na Sandomierz. Najpierw trzeba

objechać wielki fort Pszorna, część starych austriackich fortyfikacji Twierdzy Kraków. Potem wytłuc się po tłuczniu: minąć lotnisko w Czyżynach, wieś, karczmę, zakłady tytoniowe i skierować się dalej: ku Mogile, na Pleszów. Kiedy wreszcie wysiadają z terenowych samochodów, które biuro oddało im do dyspozycji, muszą czuć każdą kość w swoim ciele. Jest pierwszy lub drugi dzień lutego 1949 roku. Mroźno. Niebo lekko zachmurzone, ziemia zamrznięta, na polach leży śnieg. Na szczęście za dnia słabnie lodowaty arktyczny wiatr; poczują go dopiero na szczycie.

To niewysoka wspinaczka. Ledwie 14 metrów.

Czy znają tę historię? Czy po drodze ktoś z nudów opowiedział im legendę o księżniczce Wandzie, córce księcia Kraka, co nie chciała Niemca i rzuciła się w fale Wisły, a te aż tu doniosły jej ciało? Czy poważnym inżynierom, ekspertom bratniego narodu, materialistom-komunistom, specjalistom od żelaza i stali wolno w ogóle opowiadać bajki o księżniczkach? Czy ktoś się ośmielił?

Zresztą i tak nie wiadomo, czy ona w ogóle tam jest. Kraków ma dwa pradawne kopce ziemne, nie wiadomo, kto je usypał, kiedy ani po co. Legenda mówi, że to kurhany Kraka, założyciela Krakowa, i jego córki Wandy. Kopiec Kraka rozkopano w latach 30. Marian Dąbrowski, magnat prasowy, właściciel i redaktor „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” i 100 innych gazet, dał na to 50 tysięcy złotych. Przez trzy lata szukano książęcych szczątków, ryjąc w ziemi coraz głębiej, wykopem w kształcie leja sięgając niemal podstawy pagóra. Żadnego szkieletu nie znaleziono. Wandy nawet nie szukano. Czy pierwsza porażka zniechęciła poszukiwaczy? Skończyły się pieniądze? A może Wanda po prostu wydała im się mniej ważna? Nieważna? Jej kopiec leżący nieopodal wsi Mogiła nigdy nie został otwarty. Dlatego kiedy w lutym 1949 roku grupa mężczyzn w płaszczach wspina się na sztuczny pagór, nie

wiadomo, czy ona, jej ciało, jej prochy, naprawdę gdzieś tam są – pod metrami sześciennymi, pod tonami ziemi. Czy to naprawdę jej mogiła?

Inżynierów, którzy przyjechali pod kopiec, także nie interesują te kwestie. Ważne jest wzniesienie i „rozległy widok na płaszczyzną pól pleszowskich ku Wiśle i ku wzgórzom krzesławickim”³. Kilkanaście osób wspina się na szczyt kopca, ale żadna nie wierzy w księżniczki. Wierzą w inne bajki: w stal i Stalina, w komunizm i forsowną industrializację. Są w drodze od wielu dni. Zjeżdżili Śląsk: Gliwice, Łabędy, Pyskowice, Dzierżno, wsie i miasteczka nad Kanałem Gliwickim. Leśnymi drogami przedarli się ku Brzeźcom, Koźlu, Bierawie, Libiszowie i Kuźni Raciborskiej. Byli w Zatorze, Spytkowicach, Skawinie i Borku Szlacheckim. Wszędzie im źle. Za ciasno. Za mało wody. Dlatego teraz w zimnym wietrze stoją na szczycie Kopca Wandy i patrzą. Przed nimi ścielą się (tak przez najbliższe lata będzie się o tym pisać) zamarznięte pola.

Tadeusza Gołaszewskiego, kulturoznawcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego, samozwańczego dziejopisa Nowej Huty, na pewno nie było wówczas w tej grupie. Ale kiedy sześć lat potem Gołaszewski stworzył swoją Kronikę Nowej Huty, będzie się miało wrażenie, że jednak tam był. Kronika to dzieło monumentalne. Sama mogłaby być osiągnięciem Sześciolatki. Złożone litery, motto z przemówienia Bieruta (tego o przesiadaniu się na „konia wyższej techniki”), 714 sztychów stron pełnych nazwisk, nazw, dat i procent normy, z bardzo kiepskim indeksem. Oprawne w błękitnoszare płótno najpełniejsze źródło wiedzy o wielkiej budowie, opisujące ją niemal dzień po dniu: od pierwszych planów po pierwszy spust surówki. Wydawnictwo Literackie wydrukowało tylko 3205 egzemplarzy Kroniki. Większość dawno wylądowała na śmietnikach i została przemielona w skupach makulatury. Wszystkie, które

znam, są poźółkłe, brudzą palce, czuć je wilgocią, stęchlizną, piwnicą. To taki nowohucki Stary Testament, pełen dobrej, socjalistycznej nadziei: na początku nie było właściwie nic, potem nadszedł inżynier Pleszkow.

„Jest coś twardego, mocnego w zdecydowanych ruchach i głosie rozprawiającego tak stanowczo. (...) Młody, z fajeczką w ustach, specjalista radziecki od lokalizacji i planu generalnego hut. Wyobrażnia przestrzenna i stanowcza postawa inżyniera mają zapewne związek z jego służbą frontową w czasie wojny przeciwko hitlerowcom. Ale teraz młody inżynier z równą energią i wolą zwycięstwa mówi o sprawach pokojowych”⁴.

To on wypowiada Słowo: „Tu można by najlepiej rozplanować hutę”.

Jest tam również kobieta. Jedyna. Nie wiem, kim była. Gołaszewski nic o niej nie pisze. Na jej ślad trafiam dopiero w króciutkim artykule Wojciecha Bronisławskiego *Przed dwoma laty*, zamieszczonym w gazecie „Budujemy Socjalizm” z 1951 roku. Razem z mężczyznami wspina się na kopiec „kobieta, doświadczony inżynier i specjalista”⁵. Bez feminatywów, bez imienia, bez nazwiska. Polka? Rosjanka? Nie wiadomo.

Cała grupa spogląda z kopca w dal.

Może nie widać tego spod śniegu. A może nie chcą tego zobaczyć, może – podobnie jak księżniczka Wanda – nie interesuje ich to. Zamarznęte pola, które ścielą się przed nimi to najlepsza ziemia w kraju, czarnoziem. W Polsce zaledwie 0,4 procent wszystkich gleb można zaliczyć do tej klasy. Tutaj, w okolicach Pleszowa, Mogiły, Krzesławic, Bieńczyc, gleby klasy pierwszej występują najczęściej, jest ich dużo, aż 15 procent ogółu⁶.

Wsie, które na nich leżą, to cały mikrokosmos.

Mikrokosmos

...piorun uderza w wieżę kościoła w Pleszowie, rozdziela się na sygnaturce i spływa do wnętrza świątyni. Jest 21 czerwca 1929 roku, godzina 19, trwa nabożeństwo. Piorun liże organy, oplata rękojeść czarnej chorągwi, ogłusza Marię Cyganównę, spada wprost na ołtarz Najśłodszego Serca Pana Jezusa. Spływa po złożonych filarach. Na stopniach ołtarza klęczą dzieci, lecz nie wyrządza im żadnej szkody, odpycha je tylko od siebie i przewraca. Omija proboszcza i wsiąka w ziemię, w posadzkę, znika. Płonie drewniana dzwonnica, za jej odbudowę parafia zapłaci 8000 złotych.

...woda ze studni w Bieńczycach nie nadaje się do prania. Jest bardzo smaczna, ale twarda, nie rozpuszcza mydła. Kobiety chodzą więc prac nad rzekę. Rzeką nazywa się Dłubnia, chociaż ludzie mówią też o niej „Gorąca Woda”, bo jej nurt jest wartki. Cierpliwie dłubie swoje koryto w glinie i czarnej ziemi, cierpliwie obraca młyńskimi kołami, napędza folusze, czasem zalewa łąki i niwy. Parobcy poją w niej konie. Pławią. Rzeką nie jest głęboka, więc pławic można tylko tam, gdzie dno obniża się i ucieka spod końskich kopyt. Takie miejsca nazywają się „końskimi dołami”. W innych pławią się także ludzie – wyżej nurtu mężczyźni, niżej z nurtem kobiety. Kobiety kąpią się w koszulach, mężczyźni nago. Czasem chłopcy kładą się na wodzie i cicho, cichuteńko spływają w dół, z nurtem, do miejsca, gdzie kąpią się dziewczęta. Albo wrzucają do rzeki tłuste sadze z komina, które lepią się do białych koszul i bladych ciał.

– ...w krótkim czasie i tak cię piorun strzeli w samo serce – mówi do swej żony Maciej Paluch, szewc z Zesławic. Żona ma na imię Zofia i jest piękna. Pozuje (w stroju krakowskim) Kosakowi, Wodzinowskiemu i Stachiewiczowi. Szewc coraz więcej

pije, więc Zofia wyprowadza się od niego z czwórką dzieci i żąda alimentów. Jest 14 maja 1927 roku. Zofia wchodzi do domu swojego męża i już nigdy z niego nie wychodzi. Jej poćwiartowane szczątki śledczy odnajdą w Dłubni. Maciej Paluch zostaje skazany na „15 lat ciężkiego więzienia, obostrzonego twardego łożem co miesiąc oraz ciemnicą każdego 15 maja, w rocznicę zbrodni”.

...najpiękniejsze gorsety szyje Maria Chmiel z Pleszowa. Maria jest samotna, na utrzymaniu ma dzieci, mąż zmarł. Córki pomagają jej szyć i haftować, synów posyła do szkół – jeden zostanie prokuratorem, drugi lekarzem. Za gorset Maria bierze sto złotych. Wie, jak haftować, by wprawne oko rozpoznało, skąd pochodzi właścicielka; układ koralów i haftów jest inny w Mogile, inny w Pleszowie, Luboczy, Czyżynach.

...sodaliski „Dzieci Maryi”, oczko w głowie księdza Skarbka, pięknie trzymają się w Pleszowie. „Chłopaki, choćby chcieli, nie mają się z kim po nocach włóczyć” – zapisuje w 1917 roku zadowolony z siebie ksiądz. „W Luboczy np. wszystkie dziewczęta prócz trzech należą do sodalicji, a z tych trzech nie należących dwie miały nieślubne dzieci. Kiedy jedna z nich szukała drużyny na wesele, żadna się tego nie podjęła – twierdząc słusznie, że może tylko uczciwej dziewczynie-koleżance być za drużnę. Owa niedoszła mężatka z ciotecznym bratem pasła psy, dla usunięcia zgorszenia otrzymała dyspensę, lecz jej bogdanek w dzień otrzymania dyspensy położył się do łóżka i umarł na suchoty. Umarł jak prawdziwy pokutnik! Dziwne są sądy Boże!”

...nazywają to miejsce Myszanna. Grzebią tu padłe zwierzęta. Najpierw tylko konie. Potem – psy, koty, nawet świny. To ładna łąka, z grubą, sztywną trawą, w której lubią wic gniazda polne myszy, bo nawet ugięta, nie sięga gruntu, utrzymując ciała świeżo urodzonych, golutkich jeszcze myszek zawieszane nad

zimną ziemią. Możliwe zatem, że nazwa łąki pochodzi od myszy. Ale niektórzy mówią, że nie, że dawniej Myszanna nazywała się Mszanna i że to od tych dziwnych, dziewczęcych mszy, które nad grobem swojego ukochanego konia odprawiała tu dziedziczka z Kościelnik. Koń był piękny, biały, z jedwabistą grzywą i złocnymi kopytami, dziedziczka dała go chłopcu, którego kochała, lecz obaj – koń i chłopiec – zabili się. Dziedziczka kazała pochować konia właśnie tu, na łące. Mówią, że przychodziła potem, co rok, na koński grób, z dziewczętami ze dworu, by odprawiać tu dziwne jakieś msze i obrządki. Msza, msza i panna...

„Myszanna” – zapisuje Helena Ściborowska-Mierzwina z Kościelnik. Helena zbiera ludowe opowieści: o duchach, strachach, boginkach. Ma dwadzieścia parę lat, ale jest już znaną działaczką ludową. Pisuje do gazet: O dobre stancje dla chłopskich dzieci, O porządnym myciu, Trudniejsze warunki rozwoju umysłowego kobiet, walczy o prawa wiejskich kobiet, o ich miejsce w polityce. Zbiera nie tylko opowieści, ale i zioła: kwiat lipy, miętę, rumianek, robi z nich domowe leki. Po wojnie organizuje małopolską sekcję kobiet PSL. Rodzi czwórkę dzieci, jej mąż spędzi lata w stalinowskich więzieniach. Ona będzie osobiście dbała o podupadającego na zdrowiu Wincentego Witos, później stanie przy jego łożu śmierci. „Ta przez wszystkich za ciemną i gnuśną uważana kobieta wiejska razem z chłopem do walki staje i o prawa dla wsi się upomina i niegorzej od chłopca to czyni?”, pyta w jednym ze swoich artykułów. I sama sobie odpowiada: „Tak! – owiane duchem miłości dla wsi, bo ona naszych najbliższych jest gniazdem, stajemy o lepszą przyszłość walczyć!...”⁷.



Wsie nazywają się Bieńczyce, Branice, Chałupki, Czyżyny, Grębałów, Kantorowice, Krzesławice, Lubocza, Łęg, Mistrzejowice, Mogiła, Pleszów, Ruszcza, Wadów i Zesławice. Mieszka w nich 15 tysięcy ludzi.

– I jak się tam żyło? – zapytał Adam Gryczyński.

– A jak komu? – odpowiedziała pytaniem Maria Zderkowska, córka przedwojennego nauczyciela ludowego z Lubocy.

Adam Gryczyński jest fotografikiem, członkiem ZPAF, kierownikiem działu foto-filmowego Nowohuckiego Centrum Kultury. Na zdjęcia „przednowohuckich” wsi trafił przypadkiem. Propaganda na dekady ugruntowała opinię, że przed Nową Hutą nie było tu przecież nic: trochę błota, kurne chaty, galicyjska bieda i piach.

– A ja zobaczyłem na zdjęciach łany zbóż i procesję idącą polami – opowiada Gryczyński. – Zobaczyłem sztandary, feretrony, kobiety w strojach ludowych, mężczyzn w garniturach... Pięknych ludzi w pięknych ubraniach. Żadnej biedy i słomy.

Poświęcił 13 lat, by na własną rękę i własnymi siłami odkopać to, co peerelowska propaganda starannie zakopała: cały mikro-kosmos. Jeździł od wsi do wsi, pukał do drzwi, pytał o fotografie i wspomnienia. Na parapetach i taboretach fotografował stare rodzinne zdjęcia (nie chciał zabierać oryginałów), odcyfrowywał szkolne i kościelne kroniki, pamiętniki, ręczne zapiski. Jego archiwum liczy dziś kilkanaście tysięcy zdjęć. Tylko 20 procent z nich jest opisanych: wiadomo, kto na nich jest, gdzie je wykonano, przy jakiej okazji. Najciekawsze zdjęcia i wspomnienia umieścił w siedmiu tomach albumu *Czas zatrzymany*, gdzie na prawie 2000 stron przywrócił do życia pogrzebane przez Hutę wsie.

Wiele twarzy ze zdjęć zna już na pamięć, z imienia i nazwiska, rozpoznaje je na innych fotografiach. Nikt nie wie lepiej od Gryczyńskiego, „jak się tam żyło”.

– A jak komu? – odpowiada słowami Marii. – To na pewno nie byli ludzie zacofani, prymitywni, tacy, jak chciała przedstawić ich propaganda. Wielu było dobrze wykształconych, obeznanych z nowoczesną techniką. Pracowali na lotnisku w Czyżynach, w fabryce Zieleniewskiego, w odlewni Klimka. Do Mogiły od wieków ciągnęły przecież pielgrzymki, jej mieszkańcy gościli pątników, mieli nowoczesne, świetnie prosperujące gospodarstwa, ba, mieli samochody! Potrafili też znakomicie się organizować, zrzeszać, działać. W Pleszowie prawie 150 osób należało do przedwojennego PSL-u i do kół „Wici”, w całym powiecie krakowskim nie było drugiej takiej wsi. W Bieńczycach działało Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. W prawie każdej wsi była szkoła. Były ochronki, kursy, działali nauczyciele ludowi, ludzie się zrzeszali, wystawiali *Kościuszkę pod Racławicami* i *Damy i huzary*. W większości stały dwory, niektóre dzierżawione od kurii krakowskiej. Były młyny, folusze. Przy tym była też bieda, wielki kryzys lat 20. dotarł i tutaj. Były dwory, ale były i chaty z klepiskiem. Coś pani pokażę.

Wyjmuje kopię spisu dzieci zobowiązanych do podjęcia obowiązku szkolnego w latach 1871–1872. Obok nazwisk widnieją zajęcia rodziców. Najczęściej powtarza się słowo „zagrodnik”. – Zagrodnik miał zagrodę i dwie–trzy morgi pola – wyjaśnia Gryczyński. – Ale tu mamy „chałupnika”: on miał tylko chałupę i ogródek przy niej. Tu, proszę, „komornik”: nie miał nawet własnej chaty, mieszkał w komorze, przybudówce. Ale jest i „kmić”, a więc bogaty gospodarz. A teraz zajrzymy dalej, do spisu frekwencji uczniów w styczniu, zobaczymy czemu dzieci nie chodziły zimą do szkoły.

W rubryce „przyczyna nieobecności” zapiski są drobiazgowo. „Ospa”. „Chory na zęby”. A potem: „Buty miał złe”. „Buty u szewca”. „Buty”. „Butów nie ma”...

– To było społeczeństwo zróżnicowane zarówno pod względem statusu, jak i poglądów – mówi Gryczyński. – Ale bez wątpienia ludzie byli przesiąknięci niekłamanym patriotyzmem. Potrafili działać, samoorganizować się. Świadomie kultywowali tradycje religijne i narodowe. Stanowili zaporę dla systemu i dlatego system postanowił ich zniszczyć. Skazać na niepamięć.

To dobry moment, żebyśmy bliżej poznali Helenę Ściborowską-Mierzwinę.

Prawie rewolucja

Przepięknie pisze. Ze swadą, połotem, fantazją, wielką erudycją. Zanim usiądę do czytania maszynopisów Heleny Ściborowskiej-Mierzwiny, jej syn mnie ostrzega, że mogą być pełne literówek i fragmentaryczne. Helena pisała je dopiero w latach 60., kiedy jej mąż wrócił do domu po siedmiu latach komunistycznego więzienia i odzyskał prawo do pracy w adwokaturze. Kupiła wówczas małą walizkową maszynę do pisania, w której nie działał co drugi klawisz. Siadała do niej nocami, zmęczona ciężką całodzienną pracą, schorowana. Zaczynała pisać, ale często nie kończyła. Jej maszynopisy urywają się, fragmenty powtarzają. Nie ma ich też dużo. Te, które się zachowały, są jak dziurka od klucza. Można przez nie zajrzeć w niektóre momenty życia Heleny Ściborowskiej-Mierzwiny⁸.



Dom rodziców Heleny Ściborowskiej znajduje się przy trakcie, który przecina Górkę Kościelnicką. Trzeba go minąć w drodze do sklepu. Dlatego kobiety, które idą na zakupy, zawsze widzą,

co ojciec Heleny robi w polu. A wszystko robi wcześniej, pierwszy z całej wsi.

– Szczęść Boże – pozdrawiają go. – To wy, Ścibór, już gnój wozicie? To muszę i ja swojemu kazać wozić.

I chociaż wożenie gnoju to praca, do której mało komu się śpieszy, już za chwilę biorą się do niej inni gospodarze.

„Żony ich dognały”⁹, ocenia Helena. Obserwuje tę prawidłowość i nabiera przekonania, że kobiety wywierają wielki wpływ na życie polskiej wsi. Nawet jeśli same o tym nie wiedzą i nie doceniają swojej roli. Jej ojciec przed podjęciem ważnej decyzji też pyta żonę: „A ty jak myślisz, matka?”.

Kiedy nauczyciel przychodzi, żeby powiedzieć rodzicom, że ich córka powinna się dalej uczyć, ojciec pewnie też zadaje to pytanie: „A ty jak myślisz, matka?”.

W latach 20. niewiele chłopskich rodzin decyduje się na posłanie dziecka do szkoły. Dzieci potrzebne są w domu i w polu. Od najmłodszych lat muszą pomagać w pracy. Posłanie dziecka do szkoły oznacza, że w gospodarstwie ubędzie jedna para rąk. Oznacza też koszty. Trzeba kupić ubranie, buty, zeszyty, ołówki. Dziewczynkom pozwala się na naukę jeszcze rzadziej niż chłopcom. Zwłaszcza starszym dziewczynkom, a Helena jest teraz najstarsza z pięciorga rodzeństwa (pierworodny syn Ściborowskich, Zygmunt, zmarł dwa lata przed jej narodzeniem). Powinna opiekować się młodszymi, gotować, karmić, pracować z rodzicami w polu i przy zwierzętach. Tymczasem nauczyciel, który odwiedza Ściborowskich, chce ich przekonać, żeby wysłali Helenę do gimnazjum. Do samego Krakowa. I prosi tak długo, aż w końcu się zgadzają.

Ściborowscy nie są bogaci. Chałupa, w której wychowuje się Helena, ma dwie izby i glinianą podłogę. Przylega do niej stajnia. Prąd dociągną tu dopiero w latach 50. Ale rodzice Heleny, choć

biedni, czytają gazety. Kiedy Helena ma siedem lat (urodziła się w 1910 roku), jej mama wypatruje w prasie „końca wojny, powrotu naszego ojca i Powstającej Polski”¹⁰. To wtedy Helena po raz pierwszy słyszy nazwisko, które ma przynieść spełnienie tych wszystkich pragnień: Witos. Rodzice darzą Wincentego Witosą, przywódcę ruchu ludowego, ogromnym szacunkiem. Gdy przychodzi rok 1920 i „sąsiad Adamczyk przykładą ucho do ziemi, badając jak daleko wojna”, na wezwanie Witosy wielu chłopów z Górki i Kościelnik na ochotnika zgłasza się do wojska.

Helena chodzi tymczasem do gimnazjum. Chłonie wiedzę. Czyta Orzeszkową, Prusa, Reymonta. W klasie odbywają się dyskusje o chłopskim losie w literaturze. Helena często i żarliwie zabiera głos. Szczególnie nie podoba jej się to, jak Reymont przedstawia wiejskie kobiety. Uważa, że jego opis jest krzywdzący. Protestuje z taką mocą, że nauczycielka prosi ją o wygłoszenie referatu, w którym uzasadni swoje tezy. Helena przygotowuje się solidnie. Mówi o wielkiej, choć ukrytej roli wiejskich kobiet, o ich sile, determinacji i mądrości. Kiedy wygłasza swój referat, wszyscy są zszokowani. Nie spodziewali się takiej mocy po wiejskiej dziewczynie.

Szkoła miewa jednak i ciemne strony. Któregoś dnia koleżanki opowiadają na przerwie kawał o Witosie. Wszyscy się śmieją. Helena wraca na niedzielę do domu i powtarza dowcip podczas obiadu. Przy stole zapada ciężka cisza, łyżki zatrzymują się w pół drogi do ust.

– A to na to my cię do szkół posłali, żeby cię nauczylu z chłopów się wyśmiewać? – ojciec ciska łyżkę na stół.

– A wiesz ty, kto to jest Witos? I ty masz odwagę przy nas tego człowieka znieważać? – wtóruje mu matka.

Awantura jest potworna. Helena płacze po niej „do nieprzytomności”. Rodzice grożą nawet, że zabiorą ją ze szkoły.

„To przeżycie wyznaczyło mi drogę na przyszłość” – notuje Helena w jednym z maszynopisów.

Kilka lat później przypadkiem widzi Wincentego Witosa na krakowskiej ulicy. Chłopski przywódca idzie powolnym, szerokim krokiem w wielkich buciorach, w płaszczu narzuconym na ramiona, z teczką, wysoki, samotny. Przypomina Helenie stryjków. Dziewczyna idzie równolegle z nim i czuje dziwną radość, że w tym obcym wielkim mieście widzi kogoś tak *swojego*.

Poglądy Witosa, który postuluje poprawę warunków życia na wsiach, a zwłaszcza rozwój oświaty i rozbudzanie świadomości narodowej wśród chłopów i chłopek, będą towarzyszyć jej przez całe życie. Już wie, że właśnie tym chciałaby się zająć, właśnie o to walczyć.

Zdaje maturę, dostaje się na studia. Początkowo studiuje na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po roku przenosi się na Wydział Rolniczy tej samej uczelni. Bardzo szybko angażuje się w pracę społeczną. W 1930 roku zapisuje się do Związku Młodzieży Wiejskiej RP w Krakowie (w następnych latach będzie członkinią Zarządu Głównego tej organizacji) i Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej. Chce działać. Píše artykuły do ludowych gazet, m.in. do „Znicza” i „Wici”, walczy o to, żeby w „Piaście” co miesiąc ukazywał się dodatek kobiecy, chociaż wciąż musi to wybłagać u redaktora Bielenina. Widzi, że wiejskie kobiety chciałyby się organizować, ale brakuje wśród nich działaczek wyższego szczebla. Takich, które pomogłyby zaplanować poważniejszy program pracy społecznej. Namawia koleżanki ze studiów, żeby zaangażowały się w działania PAML. Z reguły nie chcą. Zwłaszcza te z wiejskim pochodzeniem. Odstrasza je przymiotnik „ludowa”. Należć do organizacji, która ma go w nazwie, oznacza przyznać się do czegoś, czego bardzo się wstydzą i co za wszelką cenę chcą ukryć. Do tego, że jest się ze wsi.

„W tych warunkach powszechną prawie rzeczą było *wysferzanie się* chłopskiej inteligencji” – zanotuje Helena. Ona nie ma najmniejszego zamiaru *się wysferzać*. Wie, skąd pochodzi, i nie wstydzi się tego.

W krakowskim oddziale PAML poza nią działają początkowo tylko dwie dziewczyny. Od 1931 roku Helena jest już wiceprezeską tej organizacji. Rok później wstąpi do Polskiego Stronnictwa Ludowego. Od 1936 roku będzie przewodniczącą Sekcji Kobiet tej partii na Małopolskę i Śląsk.

„Robota społeczna jest jak wir topielisko, wsadzisz rękę lub nogę, a momentalnie zostajesz wciągnięty cały” – ostrzega ją kolega z Wydziału Prawa UJ i przewodniczący PAML Stanisław Mierzwa.

Helena Ściborowska z pełną świadomością rzuca się w to topielisko.

„Długie lata tak *latała* po wsiach powiatu krakowskiego, potem już województwa, szerzej po Polsce, budząc i wciągając do pracy społecznej dziewczęta wiejskie, organizując je w sekcjach koleżanek przy Kołach Młodzieży, wytyczając nowe drogi kobiecie wiejskiej w życiu narodu. Na owe czasy była to prawie rewolucja. Bały się czasem matki o córki, nie znały tego dawniej, bały się wszelkie władze, dozorujące od wieków spokój na wsi, takiego przewrotu”⁴¹ – notuje Stanisław Mierzwa w maszynopisie zawierającym wspomnienie o zmarłej w 1977 roku żonie.

Helena i Stanisław pobierają się 22 lutego 1936 roku w samym środku zimy.

Zima jest mroźna, śnieżna. Z kościoła w Górcie miastowych gości na wesele wiezie się saniami do Kościelnik. Nieduży dom Anny Magdaleny Śwignoniowej, siostry matki panny młodej, pęka w szwach. Państwo młodzi musieli bardzo starannie wybrać gości weselnych. Z braku miejsc nie udało się zaprosić wszystkich

przyjaciół z „Wici”, ze Stronnictwa Ludowego. Obecni są jednakże profesor Stanisław Kot (ale bez małżonki, pani Idy Kotowej – Helena obawia się, że *wiejskie weselicho* mogłoby urazić miastową profesorową; pani Ida jeszcze długo będzie im to pominięcie wypominać), profesor Adam Vetulani, prawnik i mentor pana młodego, Wojciech Marchwicki, prezes Koła Ludowej Inteligencji w Krakowie, adwokat Stanisław Grodzicki, u którego Stanisław robi aplikację i Józef Marcinkowski, współzałożyciel „Wici”.

Wesele jest tradycyjne, krakowskie, z krakusami na koniach i oczepinami. Helena idzie do kościoła w białej sukni, ale potem przebiera się w gorset, który wyhaftowała Katarzyna Agnieszka Świgoniowa, siostra jej mamy.

Nie ośmielają się zaprosić Witosza. Informują go listownie, a on nadsyła z Czech list z gratulacjami.

Wojna, która przychodzi niedługo potem, nie przerywa ich działalności. W 1940 roku Stanisław zostaje członkiem działającego w podziemiu Krakowskiego Komitetu Międzypartyjnego. Helena pomaga stworzyć struktury konspiracyjnego Ludowego Związku Kobiet w województwie krakowskim. Wraz z innymi kobietami kolportuje podziemną prasę, pomaga rodzinom aresztowanych i zamordowanych, organizuje łączność i działania służby sanitarnej Zielonego Krzyża. Kiedy gestapo zaczyna chodzić za Stanisławem, przenoszą się na wieś, do Kościelnik. Jeden z synów Heleny, Jacek, zapamięta z wczesnego dzieciństwa, że mieszkają w pokoiku urządzonym na strychu. Zapamięta także, że wieczorami, kiedy zapadły już ciemności, na ławeczce przed domem Ściborowskich siadywał starszy pan z długą czarną brodą. Pan zawsze znikał potem bez śladu. Dopiero kiedy po wojnie do Kościelnik przyjdzie paczka z Izraela z konserwami i ubraniami, Jacek zrozumie, że najprawdopodobniej Helena i jej rodzice ukrywali także Żyda.

Stanisławowi uda się uniknąć gestapo. Zostanie aresztowany dopiero 28 marca 1945 roku przez NKWD i wywieziony na Łubiankę. W czerwcu zostanie oskarżony w pokazowym procesie szesnastu w Moskwie. Odsiedzi cztery miesiące.

Helena w tym czasie mieszka w Mogile. Pracuje w urzędzie gminy, pomaga założyć gimnazjum. Władze na razie dają jej spokój. Szykany zaczną się dopiero, kiedy Stanisław wróci do Polski i znów zacznie działać w strukturach Polskiego Stronnictwa Ludowego. W tym czasie Helena opiekuje się ciężko chorym Wincentym Witosem. 31 października 1945 roku jest przy jego łóżu śmierci, a jej mąż organizuje pogrzeb trzykrotnego premiera Polski.



17 września 1946 roku Stanisław Mierzwa wraca z Rzeszowa, ze zjazdu wojewódzkiego PSL¹². Helena także miała pojechać, ale przyplątała jej się angina. Jest późna noc, około godziny drugiej. Brama do kamienicy jest już zamknięta, ale Helena wie, że mąż wróci. Czeką na niego. Leży w łóżku i z gorączki prawie majaczy. Słyszy jednak parkujący samochód, głosy kolegów, a potem umówiony gwizd. To Stanisław prosi o zrzucenie kluczy od bramy. Woła Zofię, ich pomoc domową, żeby wyszła na balkon. Zofia proponuje, że lepiej będzie, jeśli zejdzie na dół otworzyć bramę. Schodzi. Po chwili wraca.

– Pana nigdzie nie ma – mówi. – Może pani się co przywidziało od gorączki?

Helena jest przekonana, że nic jej się nie przywidziało. Narzuca płaszcz i sama schodzi przed kamienicę. Jest pusto, cicho. – Stachu! Stachu! – woła męża. Nikt jej nie odpowiada. Helena nie wie, że trzech uzbrojeni ubecy zdążyli złapać Stanisława pod ramiona,

wciągnąć do podwórka sąsiedniej kamienicy, wpakować do samochodu i zawieźć w kierunku Placu Inwalidów, do siedziby UB.

Helena jest wówczas w zaawansowanej ciąży. Nie ma pojęcia, co się stało. Bardzo się boi. Nie może zmrużyć oka. Gorączka mija jej natychmiast, zamiast niej przychodzi przerażenie. Stanisław jest wprawdzie członkiem władz legalnie działającej partii, ale oboje wiedzą: to taki czas, kiedy ludzie znikają bez śladu.

Bładym światem Helena idzie na ulicę Mogiłską, do ruin po-austriackiego fortu. Szuka świeżo skopanej ziemi, ruszającej się mogiły. Wie, że ciała tych, którzy znikają nocą, ubecy zakopują właśnie tu. W 1946 roku, tuż po wojnie, fort to labirynt pełen min, granatów i resztek amunicji, trzeba uważać, gdzie stawia się stopy. Helena razem z dozorcą przeszukują każdy zakamarek, każdą piwnicę. „Obeszliśmy chyba wszystkie kazamaty tej Fortecy ciemne i przepełnione zgniłym i śmierdzącym powietrzem, pełne jakichś obrzydliwych łachów, gnoju ludzkiego, resztek broni i amunicji, gdzie potwornie śmierdziało zwierzęcą padliną”¹³. Nie znajduje skopanej ziemi ani świeżej krwi.

Rano idzie do siedziby PSL. Tam się dowiaduje, że Stach został aresztowany i że spodziewano się tego od miesięcy. „Pani jest żoną polityka, musi pani być dzielna” – słyszy.

Wraca do domu. Zastaje Zofię próbującą uporządkować ogromną stertę papierów, książek, ubrań i bielizny, którą zostawili po sobie ubecy. Pod nieobecność Heleny w mieszkaniu miała miejsce kilkugodzinna rewizja.

Na widok potwornego bałaganu Helena oddycha z ulgą. Była rewizja, myśli. A więc będzie jakiś proces, sąd. A zatem Stach żyje.

Zostaje sama. Z trojgiem dzieci, w ciąży, bez pracy. „Ratunkiem była dla niej rodzina pod Krakowem dowożąca żywność i pomoc przyjaciół w mieście” – zapisze Stanisław Mierzwa w spisany